

Bożydar Grzebyk



WSPÓŁCZESNE
OPOWIEŚCI ŻYDOWSKIE
(usłyszane w krakowskiej kawiarni)

Bożydar Grzebyk

**WSPÓŁCZESNE
OPOWIEŚCI ŻYDOWSKIE**
(usłyszane w krakowskiej kawiarni)

Wydawnictwo Grodkowskie 2009

Projekt okładki
Nieustraszeni obrońcy Atlantydy

copyright © by Bożydar Grzebyk, Kraków 2009
copyright © by „Dobre Słowo”, Grodków 2011

ISBN 978-83-62541-23-2

„Dobre Słowo”
ul. Traugutta 12
49-200 Grodków
www.grodkowskie.pl
e-mail: redakcja@grodkowskie.pl

Spis treści

Mieszkanie	5
Tajemnica	14
Pudełko	20
Lustro	27
Synagoga	35
Talerz	41
Ulica	48
Wsparcie	51
Chałtura	56
Babka	64
Dziadek	69

Pudełko

Kiedy zobaczyłem na ekranie monitora maila od niej byłem zaskoczony. Ostatni raz widzieliśmy się dziesięć lat temu. Odwiozłem ją na lotnisko, kiedy wyjeżdżała na stypendium do USA. Potem przez dwa lata wysyłaliśmy do siebie kartki na święta, lecz chyba mniej więcej w tym samym czasie zmieniliśmy miejsca zamieszkania i kontakt się urwał.

Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów, tuż po inauguracji roku akademickiego. Stała na korytarzu przed tablicą ogłoszeń i studiowała nazwiska osób, które znalazły się w jej grupie. Obok stała wielka walizka.

– W której grupie jesteś? – zapytała, kiedy podszedłem.

Spojrzałem na tablicę.

– W czwartej – rzuciłem i pokazałem palcem swoje dane osobowe. – To ja.

– A to ja – wskazała nazwisko trzy linijki wyżej na tej samej liście.

– Bardzo mi miło – powiedziałem.

– Skoro się już znamy i będziemy chodzić na te same zajęcia przez kilka lat, to pomógłbyś mi zatańczyć tę

walizkę do mieszkania? – była niezwykle bezceremonialna i roszczeniowa.

– No, w zasadzie – wybąkałem.

– No to chodźmy, potem zapraszam na kawę – rzuciła energicznie. – Niedaleko stacji jest świetna kawiarnia.

Walizka była straszliwie ciężka.

Przez lata studiów stało się to naszym rytuałem. Wychodziłem po nią na Dworzec Główny, brałem walizkę i dźwigałem ją do tramwaju, a potem z tramwaju do wynajmowanego przez nią mieszkania w bloku przy ulicy Kazimierza Wielkiego. Na czwartym roku było jeszcze gorzej, bo jakaś krewna wyjechała na stałe za granicę i zostawiła pod jej opieką kawalerkę na osiedlu Widok. Przystanek był położony w dużo większej odległości.

Lubiłem ją. Mogliśmy dyskutować całymi wieczorami, jednak nigdy nie zaiskrzyło między nami, choć muszę przyznać, że podobała mi się. Gdyby było inaczej na pewno nie dźwigałbym jej walizek. Podejrzywałem, że podkochuje się w jednym czarusiu z grupy trzeciej, który był wyjątkowym palantem, jednak nie wiedzieć czemu, dziewczyny z roku o tym nie wiedziały. Albo udawały, że nie wiedzą. Przeszło jej mniej więcej w tym czasie, kiedy przeniosła się na osiedle. Czaruś wszedł z koleżanką ze swojej grupy w bliski związek, który zaowocował ciążą. Moja przyjaciółka straciła wtedy zainteresowanie mężczyznami. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Nie wiedziałem o niej wiele. Przyjechała na studia z jednego z tych podkrakowskich miasteczek, w których ludzie mają ogromne ambicje. Jej matka była nauczycielką, a koleżanki z liceum, które od czasu do czasu spotykałem, były upiorne. W jej przeszłości nie znała-

złem nic wystarczająco intrygującego, żeby powstało we mnie pragnienie rozmowy o niej.

Znałem za to doskonale jej plany na przyszłość. Mogła o nich mówić godzinami. To paplanie sprowadzało się w zasadzie do jednego – chciała wyjechać za granicę, znaleźć dobrą pracę i mieć duży dom na przedmieściach. Zmieniały się tylko szczegóły. Raz widziała siebie w londyńskim City, kiedy indziej snuła wizję kariery w Paryżu. Zawsze mówiłem jej, że wszystko jest możliwe, choć nie bardzo w to wierzyłem. Miałem zbyt duże skłonności do oceniania ludzi swoją miarą – patrzyłem na nich oczami abnegata, który na studia poszedł tylko dlatego, żeby uniknąć służby wojskowej.

W październiku, na początku ostatniego roku studiów, jak zwykle czekałem na nią na dworcu. Kilka dni wcześniej wróciła z Francji, gdzie opiekowała się dziećmi i szlifowała francuski. Przez ostatni tydzień odpoczywała u mamy. Pojechaliśmy „czwórką” do Bronowic. Była niepokojna i niecierpliwa. Nie zdziwiło mnie to. Sam często bywałem rozdrażniony po wizytach u rodziców. Jej zderzenie wzrosło, gdy weszliśmy do klatki schodowej. Wjechaliśmy windą na piąte piętro. Kiedy zobaczyłem drzwi jej mieszkania poczułem się nieswojo. Były niedomknięte, a w okolicy zamka widać było ślady wskazujące, że ktoś wyłamał go łomem lub łyżką do opon.

Wbiegła do środka. Wolno ruszyłem za nią. Wszedłem do pokoju usiłując nie stanąć na leżących w nieładzie na podłodze przedmiotach. Zobaczyłem, że szuka czegoś wśród porzucanych rzeczy.

– Nieźle – zagadnąłem głupio.

Nic nie odpowiedziała zajęta przetrząsaniem splądrowanej przez włamywaczy szafy. Dostrzegłem, że jest

bliska płaczu. Zastanawiałem się jak jej pomóc. Odsunąłem leżące na kanapie podkoszulki i usiadłem. Kątem oka zobaczyłem wystające spod ubrań stare, okrągłe, metalowe pudełko z niemieckimi napisami. Wziąłem je do ręki i zacząłem nerwowo się nim bawić.

– Co mogę zrobić... – rzuciłem.

Powoli odwróciła się do mnie i czułem, że zaraz wyładuje na mnie swoją złość i rozczarowanie. Tymczasem spojrzała na pudełko, które obracałem w dłoniach i uśmiechnęła się boleśnie. Podeszła do mnie i wyjęła mi je z ręki. Po jej policzkach popłynęły łzy.

Patrzyłem na nią lekko zszokowany i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to jakiś objaw załamania nerwowego.

– Wszystko w porządku – zapytałem.

Kiwnęła głową.

– Nic ważnego nie zginęło? – dopytywałem.

– Eee, trochę francuskich słodyczy i ciuchów od Tati’ego – wzruszyła ramionami. – Największy problem to teraz drzwi.

– A to pudełko? – byłem zaintrygowany.

– Nie wiem co by się bez niego stało – westchnęła z wyraźną ulgą. – To byłaby katastrofa.

– Trzymasz w nim brylanty?! – przyszło mi nagle do głowy.

Roześmiała się.

– Nie, to tylko taki magiczny przedmiot – wyjaśniła.

– Talizman. Dzięki niemu wszystko mi się udaje.

– Żartujesz... – to było jak prychnięcie.

– Wcale nie – usiadła na podłodze. – Byłam w pierwszej klasie liceum. Rodzice się rozwiedli i ojciec się wyprowadził. Razem ze swoimi rzeczami przypadkowo

zabrał je ze sobą. Wtedy zaczęłam mieć straszliwego pecha. Moja ulubiona nauczycielka się rozchorowała i zastąpiła ją prawdziwa zołza. Chłopak, z którym chodziłam poczuł miętę do mojej koleżanki i w ogóle nic mi się nie udawało. Kiedy przypadkiem znalazłam je u taty, od razu wszystko wróciło do normy.

– Podpuszczasz mnie? – spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Po co miałabym to robić – zrobiła minę, która z pewnością wyrażała politowanie. – Czasem powinieneś wyłączyć racjonalno – analityczne obwody w swoim mózgu. Zobaczysz wtedy, że życie jest piękniejsze. Zrobię coś do picia.

Wstała i poszła do kuchni. Ruszyłem za nią.

– Ale jakieś poniemieckie pudełko... – marudziłem.

– Dostałam je od dziadka, kiedy miałam osiem lat – powiedziała zapalając gaz pod czajnikiem. – Było to dla mnie wielkie wydarzenie, bo wszyscy znaliśmy jego historię. Powiedział mi wtedy. „Dopóki będziesz je miała wszystko ci się uda, tak jak mnie”. Wiedział co mówi.

– A kim był twój dziadek? – zaciekałem się.

Nie odpowiedziała. Poczekala aż woda się zagotuje i wlała ją do filiżanek z torebkami z herbatą. Podała mi jedną, sama wzięła drugą i usiadła przy niewielkim stole.

– Pod koniec roku 1942 dziadek miał 13 lat – powiedziała. – Ale był taki wymizerowany i niewyrośnięty, że wyglądał góra na dziewięć. Już wtedy był sierotą. Żeby przeżyć zebrał i szukał jedzenia w śmietnikach. Opowiadał mi, że tego dnia był wyjątkowo głodny i wyziębiony. To był październik albo listopad. Wiedział tylko, że to była niedziela, bo ludzie szli do kościołów. Znalazł wtedy

w koszu na śmieci w pobliżu kawiarni dla Niemców nie dojedzone ciastko. Był tak zaaferowany, że nie zauważył żołnierza, który podszedł niepostrzeżenie i położył mu rękę na ramieniu. Dziadek zobaczył czubki wojskowych butów. Tak mówił: „Zobaczyłem czubki wojskowych butów”. Nic więcej. Ale nie musiał nic więcej mówić. Był uciekinierem z odciętego już wtedy od świata getta, nie miał dokumentów i gwiazdy Dawida, którą powinni nosić po aryjskiej stronie wszyscy Żydzi, którzy ukończyli 12 lat.

– Nie przyszło mi do głowy, że jesteś Żydówką – wypaliłem i od razu poczułem się głupio.

– Ty też nie opowiadasz o swoich korzeniach, ale robi to za ciebie twój najlepszy przyjaciel – odcięła się.

– On mówi o mnie, że jestem?... – przeżyłem mały szok.

– Owszem – przytaknęła.

– Nie jestem... A może tylko o tym nie wiem – zrobiło mi się, nie wiedzieć czemu głupio. – W każdym razie nie przeszkadzało by mi to.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

– Niemiec szarpnął go lekko i odwrócił twarzą do siebie – kontynuowała. – Dziadek poczuł zapach wódki. Żołnierz uśmiechnął się i wyciągnął w jego stronę rękę z pudełkiem landrynek...

– Tym pudełkiem? – zapytałem niepotrzebnie.

– Tak – potwierdziła. – Dziadek nie wiedział co zrobić. Niemiec wcisnął mu je do ręki, poklepał po twarzy i odszedł. Od tamtej chwili wszystko się zmieniło. W zrujnowanym domu, w którym pomieszkiwał, wypatrzył go kolejarz i ukrył najpierw na wsi pod Krakowem, a kiedy zrobiło się tam niebezpiecznie na stryszku w domku

dróżnika, co było dość ryzykowne, bo często zaglądały tam patrole bahnschutzu. Najgorzej było w styczniu 1945. Kolejarz nie pojawiał się, za to wszędzie było dużo Niemców. Wtedy uratowały go landrynki z pudełka. Zostało mu ich zaledwie kilka. Brał do ust jedną dziennie. Mówił, że wtedy czuł w sobie przyływ sił, jakby zjadł wielki obiad. Kiedy zobaczył przez szparę rosyjskich żołnierzy zostały mu jeszcze dwie...

– Piękna historia – ocenilem.

– Nie opowiadaj o tym nikomu, bo dziadek uważa to za bardzo intymne wspomnienia, którymi nie wolno dzielić się z obcymi – poprosiła.

– Ale mnie opowiedziałaś – zrobiłem minę, która w założeniu miała być szelmowska.

– Wybrałam mniejsze zło – stwierdziła. – Gdybym ci nie opowiedziała, to jutro rozpowiesz wszystkim, że jestem wariatką.

– Nie doceniasz mojej dyskrecji – chciałem, żeby wyraźnie zabrzmiało w moim głosie oburzenie.

Uśmiechnęła się pod nosem.

Pozostałem dyskretny aż do dzisiaj. I nie czuję się winny, gdyż sama mnie sprowokowała do tej opowieści.

W mailu nie napisała do mnie ani słowa. Załączyła tylko zdjęcie. Było na nim wielkie biurko z egzotycznego drewna, na którym stała mosiężna tabliczka z jej nazwiskiem. Z tyłu, za skórzanym, pustym fotelem było okno, z którego rozciągał się widok na wieżowce i morze. Wyglądało to na Dolny Manhattan. Na środku biurka, obok Macbooka leżało pudełko po landrynkach.

Lustro

W czasie studiów nie marnowałem wakacji na zbijanie bąków. Brałem plecak i wraz z dwoma – trzema kumplami wyruszyliśmy na podbój francuskich sadów i winnic. Po czwartym roku znajomy znalazł lepszą fuchę – jakiś znudzony francuski mieszczuch zapragnął uruchomić nowoczesną hodowlę kóz i potrzebował taniej ekipy do różnych nietypowych robót budowlanych. Byliśmy niewątpliwie najtańsi.

Trafililiśmy do jakiejś dziury niedaleko granicy francusko – niemieckiej, do której furgonetka – sklep dojeżdżał dwa razy w tygodniu. W niedzielę szliśmy chyba z godzinę do najbliższego miasteczka, gdzie przesiadywaliśmy w knajpie popijając miejscowy specjał – wódkę z mirabelek, czy czegoś podobnego.

Wieść o tym, że w okolicy pojawili się polscy studenci szybko się rozeszła wśród miejscowych. Trzeciej niedzieli w knajpie pojawił się starszy pan z elegancką, rzeźbioną laską w ręce. Podszedł do naszego stolika, przedstawił się i nienaganną polszczyzną zaprosił nas do siebie za tydzień na obiad. Nikt nie zaprotestował,

zgodnie z zasadą – wszystko co warte więcej niż wesz – bierz, jak cię częstują nie odmawiaj.

W następny weekend nasze plany jednak uległy zmianie. Do kumpli przyjechały dziewczyny i ani myślały siedzieć na głębokiej prowincji. Wyciągnęły ich do nie tak znowu odległego Metz. Nie pojechałem z nimi z prostej przyczyny – nie tylko nie lubiłem tych lasek, ale miałem też dosyć ich chłopaków, z którymi obcowałem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ostatni miesiąc. Zamierzałem niedzielę przespać, upiwszy się wcześniej w samotności wódką z mirabelek.

Rano okazało się jednak, że moi towarzysze pracy zabrali ostatnią butelkę trunku, najwyraźniej po to, żeby wzmocnić po drodze swój dobry humor. Ja na pewno takowego nie miałem. Dzień dłużył mi się niebywale. Około południa przypomniałem sobie o zaproszeniu starszego pana. Ruszyłem więc do miasteczka.

Jego dom znajdował się z dala od centrum. Rzuciły mi się w oczy wymagające odświeżenia okiennice.

Przywitał mnie opatulony w biały fartuch, na którym można było dostrzec ślady soku z pomidorów.

– A co z resztą? – zapytał

– Coś im wypadło – bąknąłem mało przekonująco.

– Szkoda... – stwierdził prowadząc mnie do jadalni.

– Rzadko mam okazję porozmawiać po polsku...

Usiadłem za starym, stylowym stołem z ogromnym blatem. Gospodarz znikł w kuchni i miałem okazję porozglądać się po pokoju. Wszędzie na ścianach wisiały obrazy. Ocenilem, że kolekcja była dość przypadkowa. Od sielskich krajobrazów z myśliwym i psem po coś, co chyba mieściło się w definicji kubizmu. Wzdłuż ścian na

podłódze stały rzeźby, których twórcy z pewnością nie byli mistrzami dłuta.

– Już do pana idę – usłyszałem i po chwili starszy pan pojawił się w drzwiach dźwigając wazę z zupą. – Niech trochę ostygnie, a my na dobry początek zaczniemy od aperitif.

Nalał do szklanek alkohol z butelki stojącej na stole i dołał sporo wody mineralnej. Płyn zrobił się trochę mętny. Usiadł i wypił kilka łyków przyglądając mi się uważnie.

– Z jakiej części kraju pan pochodzi? – zapytał.

– Z Krakowa – rzuciłem z dumą w głosie.

Pokiwał głową.

– Byłem, widziałem, podziwiałem – rzucił. – Ja urodziłem się sporo dalej na wschód. W Buczaczu.

– Niestety, nie miałem okazji być – powiedziałem.

– Szkoda, bo tamta strona jest wyjątkowo piękna....
– stwierdził refleksyjnie.

– Dawno pan stamtąd wyjechał? – okazałem zainteresowanie jego losami.

– Tak dawno, że już nie pamiętam – uśmiechnął się.

– Zachciało mi się zostać malarzem w Paryżu.

– To pana dzieła? – byłem trochę zbyt spontaniczny.

Gospodarz zachichotał.

– Nie dane mi było stać się artystą – wyjaśnił. – Zostałem handlarzem. Jako że łyknąłem trochę techniki malarskiej, zatrudnił mnie pewien paryski marchand, którego nazwiska nie wspomnę, żebym umiejętnie postarzał obrazy. Byłem w tym niezły. Muszę panu powiedzieć, że to był całkiem szczęśliwy okres w moim życiu. 8 czerwca 1940 roku pojechałem do Genewy z kilkoma obrazami, które jak mniemam do dzisiaj

są, całkiem niezasłużenie, ozdobą pewnej znanej kolekcji.

Znów zachichotał.

– W każdym razie zostałem tam prawie do końca wojny – kontynuował po chwili. – Ale porozmawiamy o tym później, bo zupa już do siebie doszła...

Rozlał ją do talerzy. Po czym wziął z koszyka kromkę chleba, porozrywał ją na kawałki i wrzucił do swojej zupy. Ostrożnie zrobiłem to samo. Spróbowałem. Po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z zupą rybną i powiem szczerze, nigdy później nie jadłem czegoś podobnego, choć częstowali mnie swoimi specjami rybacy z Kaszub i wędkarze z wielkich mazurskich jezior. Arabscy kucharze z Tunezji i mistrzowie kociołka z Marsylii.

– To mój wynalazek – oznajmił przeżuając chleb. – Kiedy chcę ją przyrządzić zawsze zamawiam świeży towar u miejscowego kłusownika. Wie co przynieść prosto z czystych okolicznych strumieni.

– Rewelacja – rzuciłem znad talerza. – Poproszę o przepis...

– Z chęcią – uśmiechnął się. – Tylko ostrzegam to bardzo bogata receptura. Kilka gatunków ryb i na dodatek raki. No i nie będzie tak smakować bez chleba od mistrza Fruzo. Ten chleb też piecze specjalnie dla mnie.

– No to wymiękam – stwierdziłem.

– Wymiękam... – powtórzył, wyraźnie bawiąc się brzmieniem i znaczeniem słowa. – Zobaczymy co powie pan na kaczkę w mirabelkach.

– Też pana przepis? – zagadnąłem.

– Nie, tym razem ukradłem go miejscowej mistrzyni kuchni – rozłożył ręce. – Wredna i wścibska baba, ale gotuje lepiej ode mnie.

– To chyba niemożliwe – wreszcie wyszedł mi komplement.

Kaczka była co najmniej tak smaczna jak zupa. A sos, którego ważnym składnikiem była wódka z mirabelek mógł naprawdę sprawić wiele przyjemności.

Kiedy potem usiedliśmy z kieliszkiem wina w ręce w salonie, czułem się senny i rozluźniony. Reprezentacyjne pomieszczenie domu było wprost zavalone różnego rodzaju dziełami sztuki.

– Osiałem tu tuż po wojnie – powiedział. – Wtedy to był prawdziwy raj dla takich jak ja. Amerykanie nie wpompowali jeszcze pieniędzy w niemiecką gospodarkę, więc wesoło tam nie było. Wyprzedawali się aż miło. Czasem przywoziłem stamtąd całą ciężarówkę różnego rodzaju dzieł. Tu urządziłem sobie bazę. Dokonywałem wstępnej selekcji. To co bezwartościowe zostało i może pan teraz podziwiać do woli.

Wskazał na ściany. Moją uwagę przykuła zasłona nad kominkiem, za którą ukrywał się, jak mniemałem, jakiś obraz.

– A to – zapytałem.

– Zaintrygowało pana – uśmiechnął się. – Odradzam oglądanie tego.

– Jakaś szkarada, czy dzieło siejące deprawację i zgorzienie? – dociekałem.

Zamyślił się.

– W zasadzie – powiedział po chwili. – To dzieło rzeczywiście uniwersalne, które jak najbardziej może wywoływać złe emocje. Chętnie je panu pokażę... Musi pan jednak wiedzieć, że to może być dla pana niebezpieczne. Na przykład gdyby był pan złym człowiekiem. Na przykład antysemitą.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– No nie wiem... – wydukałem. – Pewnie za dobry to nie jestem.

Podszedł do zasłonki.

– Ten przedmiot pochodzi z pańskiego miasta – przesunął kotarę i moim oczom ukazało się lustro w ozdobnej ramie w kolorze przybrudzonego złota, do której od góry i po bokach doczepiono witraż z motywami roślinnymi.

– Ciekawe – powiedziałem.

– Witraż zrobiono w zakładach W. Żeleńskiego – powiedział gospodarz. – Nie był oryginalnym zdobieniem. Ktoś go niezbyt fachowo dostosował do ramy.

– Dlaczego ma być takie niezwykle? – zapytałem.

Usiadł w fotelu.

– Pod koniec lat czterdziestych trafiłem do małego bawarskiego miasteczka, gdzie miałem wycenić i ewentualnie kupić kolekcję starych monet – zaczął opowieść. – Nie były interesujące, zapewne jakiś przypadkowy łup wojenny. Kiedy już zamierzałem odjechać, przed samochodem dostrzegłem przejętego mężczyznę z niezbyt przytomnym wzrokiem, taszczącego to właśnie lustro. Powiedział mi, że muszę je zabrać. Ocenilem je jako niewiele warte, więc odmówiłem. Powiedział, że mi dopłaci, da mi jeszcze biurko i dwa ozdobne żyrandole. To mnie bardzo zaintrygowało i zapytałem dlaczego mam je zabrać. Stwierdził, że jestem Żydem i to jest najważniejszy powód. Zabrałem je razem z kilkoma innymi, dużo cenniejszymi rzeczami, które wytargowałem jako wynagrodzenie za przejęcie lustra.

– Rzeczywiście ciekawe – stwierdziłem.

– Ciekawe to dopiero będzie – uśmiechnął się. – Oczywiście bardzo zaciekało mnie dlaczego ja, Żyd zostałem obdarowany tym lustrem. Kilka miesięcy później wiedziałem już sporo o jego historii. Syn aptekarza z tego miasteczka był urzędnikiem oddelegowanym do cywilizowania ziem podbitych przez III Rzeszę. Trafił do Krakowa, gdzie bardzo szybko dorobił się ogromnego majątku. Sąsiedzi twierdzili, że w ciągu trzech lat wysłał do domu chyba 5 ciężarówek różnych dóbr. W jednej z nich było właśnie to lustro. Sam nie wrócił z wojny i nie wiadomo gdzie został pochowany. Lustro spodobało się jego matce. Pani aptekarzowa z dużą przyjemnością czesała przed nim swoje włosy. Pewnego dnia gruchnęła w miasteczku wieść, że w tabletkach sporządzonych w aptece dla byłego miejscowego aktywisty NSDAP był arsenik. Aptekarzowa szybko wyznała, że kazała jej to zrobić kobieta, która pojawiła się w lustrze. Po opisie uznano, że była to stara Żydówka. Wtajemniczeni w sprawę bali się zniszczyć zwierciadło, bo wiadomo, rozbite lustro to lata nieszczęść. Jeden z nich dyskretnie przekazał je niezbyt lubianemu krewnemu z Monachium. Ten wkrótce popełnił samobójstwo. Lustro wróciło do miasteczka i wprawiało w szaleństwo każdego, kto je przechowywał.

– Aż trafiło do pana – powiedziałem. – I rzeczywiście jest takie straszne?

– Odkąd je mam ani razu nie śniły mi się koszmary – stwierdził.

– Sądzi pan, że Niemcy ulegli zbiorowej sugestii? – dociękałem

– To tylko lustro –wzruszył ramionami. – Przedmiot co prawda magiczny i mógł widzieć różne wydarzenia, ale nie przesadzajmy...

– Nigdy nie kusiło pana, żeby go użyć, sprawdzić czy... wie pan... – moja wyobraźnia była niezdrowo pobudzona.

Uśmiechnął się.

– Powiedzmy, że raz – powiedział. – Przyszedł do mnie inspektor podatkowy. I już na wstępie wygłosił jakąś ironiczną uwagę pod adresem mojego nazwiska. Zostałem go tu samego naprzeciw odsłoniętego lustra.

– I co? – byłem bardzo zaintrygowany.

– I nic – powiedział. – Wyszedł i więcej go nie zobaczyłem. Nie zdziwiłbym się, gdyby doznał wstrząsu patrząc w lustro. Gębę miał strasznie paskudną.

Zachichotał.

Kiedy wyszedł zrobić kawę ostrożnie podszedłem do zwierciadła. Nie dostrzegłem nic poza odbiciem ścian salonu i mojej twarzy, z której wprost promieniowało napięcie.

Synagoga

Lubiłem kawiarnię w Instytucie Kultury Żydowskiej na Kazimierzu nie tylko dlatego, że podawali w niej dobrą kawę. W niewielkim hallu ze szklanym sufitem na wysokości 3 piętra mieściły się zaledwie trzy stoliki. Zbyt mało, żeby odwiedzały to miejsce zorganizowane, brzęczące nieprzyjemnie wycieczki. Nowoczesny wystrój zniechęcał też indywidualnych turystów, którzy woleli posiedzieć wśród obrazów ukazujących chasydów w różnych pozach i okolicznościach, zakurzonych maszyn do szycia Singera i kart dań, w których na pierwszym miejscu widniały gęsie pipki czy zupa Jankiela. Nie po to przecież przyjechali do Krakowa z odległych często kontynentów, żeby podziwiać szkło i chromowane poręcze, których nie brakuje w Tel-Awiiwie czy Nowym Jorku.

Nie byłem tam zbyt częstym gościem. Czasem przychodziłem na filiżankę kawy, którą delektowałem się w samotności przeglądając opiniotwórcze tygodniki. Niekiedy umawiałem się tam ze znajomymi, którzy lubili się spóźniać. Nie zostawaliśmy jednak w Instytucie zbyt długo. To nie było miejsce, którym pragnąłbym się z nimi dzielić.

To był lipiec. Leniwa ekipa budowlana przemieniała moje zaniedbane mieszkanie w przytulne gniazdko, do którego można od czasu do czasu kogoś zaprosić bez większego wstydu. Zamiast więc wracać po pracy do domu początkowo snułem się po mieście. Szybko jednak upał i liczne wycieczki nie pozostawiające na chodnikach wolnego miejsca dla indywidualistów sprawiły, że poszukałem sobie bezpiecznej przystani właśnie w instytucie.

Prasa w wakacje zwykle nie dostarcza zbyt wielu inspirowanych treści, więc chcąc nie chcąc moja uwaga kierowała się w stronę innych gości. Moje zainteresowanie wzbudził mężczyzna po trzydziestce, który przychodził w tym czasie do instytutu równie często jak ja. Zamawiał sok jabłkowy i zaczynał czytać książkę. Były to zwykle publikacje w języku angielskim. Swoją znajomość tego języka potwierdzał pomagając od czasu do czasu amerykańskim turystom w zrozumieniu niezwykłości naszego kraju.

Zazdrościłem mu. I to wcale nie zdolności lingwistycznych. Przychodziła po niego ponętna brunetka z uśmiechem Sandry Bullock. Na jej widok szybko wstawał od stolika, całował ją w policzek i zaraz potem bez pośpiechu kierowali się ku wyjściu. Czasem zostawał po niej tylko słabo wyczuwalny zapach perfum. Kilka lat później odkryłem, że tak pachnie Nina Niny Ricci. Cieszę się, że dzisiaj używa jej niewiele kobiet.

Któryś dnia, w upalne popołudnie bezceremonialnie przysiadł się do niego starszy mężczyzna. Na jego czole i przebiegającej przez środek głowy łysinie perlił się pot, a obfity brzuch unosił się w przyspieszonym oddechu. W jego oczach nie można było jednak dostrzec

ani odrobiny zmęczenia. Spojrzenie staruszka było nieprzyjemnie przenikliwe i sugerowało dość niepokojącą przewrotność i inteligencję.

– Znajdzie się miejsce dla starego Żyda? – zapytał.

Mężczyzna spojrzał na niego z widocznym zainteresowaniem i odłożył książkę na blat stolika.

– Oczywiście – kiwnął głową.

– Zapomniałem już, że tu też bywają upały – starszy pan uśmiechnął się. – Powiniennem przyjechać na wiosnę. Serce łatwiej by to wszystko przetrzymało...

– Tak, wtedy jest przyjemniej – przytaknął zagadnięty.

– Pan tu mieszka na stałe? – dociekał staruszek.

Mężczyzna kiwnął tylko głową.

– Myślałem, żeby się tu przenieść, ale to coraz trudniejsze – westchnął intruz.

– To nie jest kraj, gdzie żyje się łatwo – rzucił stały bywalec instytutu.

– Och, to nie ma żadnego znaczenia – stwierdził starszy pan. – Jestem przyzwyczajony do niewygód i nie dziwią mnie żadne absurdy. Po prostu z każdym rokiem, z każdą wizytą tutaj coraz wyraźniej ich słyszę...

– Ich? – jego rozmówca zrobił bardzo dziwną minę.

Staruszek był najwyraźniej rozbawiony.

– Moich przodków, przyjaciół znajomych, którzy tu zostali – wyjaśnił. – Chyba już jestem w wieku, że bliżej mi do nich niż do innych...

– Niech pan nie przesadza... – powiedział chyba grzecznościowo. – Wygląda pan całkiem młodo...

– Mówi pan? – intruz zrobił szelmowską minę. – W końcu zostawiłem tu swoją młodość, to może w końcu mnie odnalazła? Taaak. Wracam właśnie z miastecz-

ka gdzie dorastałem. Siedziałem na ławce na rynku, tam gdzie w dni targowe stały kiedyś stragany starych Żydówek. Biegaliśmy koło nich. Czasem nawet udało się zwędzić jakiś drobiazg... Może rzeczywiście powinienem poczuć się młody...

– Właśnie – przytaknął jego rozmówca.

Starszy pan pokiwał głową.

– Problem w tym, że kiedy patrzę na swoich znajomych w Tel Awiwie, ich dzieci i dzieci ich dzieci, to myślę, że Bóg odebrał nam młodość – stwierdził refleksyjnie.

– Nie jest chyba tak źle – rzucił bez większego przekonania młody mężczyzna.

Staruszek przesunął palcem książkę leżącą na blacie stolika.

– „Jerusalem: City of Mirrors”... – przeczytał tytuł. – Ciekawa książka. Był pan kiedyś w Jerozolimie?

– Nigdy – oznajmił bywalec instytutu.

– Szkoda, niektórzy mówią, że tylko tam można poczuć obecność Boga – pokiwał głową staruszek. – Wiadomo święte miasto, to i do Boga blisko...

Młody mężczyzna zamyślił się. Milczenie trwało dość długo.

– Wie pan – stwierdził nagle. – Ja kiedyś poczułem obecność Boga i to wcale nie w świętym mieście.

– Ciekawe – zainteresował się leciwy turysta.

– Też się wychowywałem w małym miasteczku – powiedział partner brunetki o uśmiechu Sandry Bullock. – Była tam synagoga. Odkąd pamiętam była odgradzona i zamknięta. Jak przez mgłę widzę gruby, zardzewiały łańcuch na potężnych drewnianych drzwiach...

Staruszek pokiwał głową, jakby taki widok był co najmniej oczywisty.

– Chodziliśmy tam z kumplami – kontynuował młody mężczyzna. – Przeciskaliśmy się przez dziurę w siatce i zwykle długo kłóciliśmy się, czy wejść do środka, czy nie. Mieliliśmy chyba po 10 lat i potrafiliśmy wymyślać sobie od tchórzy i frajerów...

– To nieuchronne jak wietrzna ospa – uśmiechnął się starszy pan.

– Kiedyś miałem gorszy dzień i dałem się sprowokować – westchnął eksplorator świątyń. – Podsadzili mnie do otwartego okna w przedsionku i wskoczyłem do środka. Żaden z moich kolegów nie odważył się pójść moim śladem. Ostrożnie wszedłem do wielkiej i pustej sali. Powoli zaczęły docierać do mnie szczegóły. Najpierw porozrzucane po podłodze kartki książek zadrukowane niezrozumiałymi znakami i wiszące na jednym zawiasie skrzydło drzwi szafy wbudowanej w ścianę...

– Aron Ha – Kodesz – szepnął staruszek.

– Wtedy nie wiedziałem jak się nazywa – wyjaśnił młody mężczyzna. – Potem zacząłem oglądać malowidła na ścianach. Potwora pożerającego własny ogon i patrzące refleksyjnie lwy. Nieco wyblakły granatowy sufit, na którym żarzyły się gwiazdy Dawida.

– Kiedyś to musiało być miejsce... – westchnął mieszkaniec Tel Awiwu.

– To wtedy było... miejsce – uśmiechnął się bywalec instytutu. – Kiedy stałem na środku tego pustego, opuszczonego przez ludzi budynku, gdzie przeciąg sprawiał, że wewnątrz wypełniało się delikatnym szmerem walających się po posadzce kartek, po raz pierwszy w życiu poczułem obecność Boga.

Zapadło milczenie. Rozmówcy długą chwilę siedzieli bez ruchu.

– Jaki on był? – zapytał nagle staruszek. – Rozgniewany czy współczujący?

Młody mężczyzna spojrział na niego zdziwiony.

– Nie mam pojęcia – stwierdził. – Tak się przestraszyłem, że nie wiem kiedy znalazłem jakąś starą skrzynkę, wdrapałem się po niej na okno i uciekłem. A czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem – westchnął starszy pan. – Ale łatwiej by mi było umierać, gdybym wiedział jaki jest...

W drzwiach pojawiła się kobieta o uśmiechu Sandry Bullock, trzymająca za rękę milutkiego chłopca. Młody mężczyzna spojrział na nich i jego twarz rozpromienił uśmiech.

– On nie jest zły – powiedział, kiedy pomachała mu ręką. – Obdarował mnie nimi, kiedy zaangażowałem się w społeczną akcję ratowania synagogi. Poznałem ją, kiedy jechałem na rozmowę do siedziby gminy żydowskiej. Muszę iść.

Wstał i podszedł do kobiety. Pocałował ją w policzek. Kiedy wychodzili, odwrócił się w drzwiach i powiedział:

– Do widzenia.

Staruszek uśmiechnął się. Kiedy wychodził zostawił pani obsługującej bar duży napiwek.

Talerz

Od czasu do czasu nachodzi mnie ochota na meksykańską kuchnię. Zwykle w takich chwilach starałem się odwiedzać restaurację przy ulicy św. Krzyża. Zamawiałem wówczas zupę meksykańską i tacos. Czasem oddawałem się występnej konsumpcji piwa, przegryzając nachos maczane w sosie guacamole.

Pamiętam ten wiosenny dzień. Było pochmurno i dość chłodno. Od rana czułem w ustach smak pikantnej zupy chili. Wyrwałem się więc z pracy i około 13 przekroczyłem próg lokalu.

Zobaczyłem go przy stoliku stojącym przy jednym z okien wychodzących na ulicę. Poznałem go w czasach, kiedy ludzie odkryli uroki odtwarzaczy VHS. Na miasteczku studenckim w każdą niedzielę działała aktywnie giełda elektroniczna, na której wideomaniacy wymieniali się kasetami z filmami. Pamiętam jak stał z naręczem mało chodliwych filmów z ambicjami i usiłował wcisnąć je komuś w zamian za przeboje z Chuckiem Norrisem czy Sylwestrem Stallone.

– Mocne kino – zagadnąłem go przeglądając naklejki na jego kasetach.

– Moja laska ma dobry gust – uśmiechnął się. – Wymienimy?

– Dobra, tylko komu ja to później wcisnę? – zapytałem.

Rozmowa jakoś łatwo się nam potoczyła. Nie dałem mu Chucka, za to wymieniliśmy się telefonami i później od czasu do czasu taszczyliśmy do siebie magnetowidy, żeby na kasety z wybitnymi filmami przegrać coś, co można było bez problemu wymienić. Przy okazji obejrzałem parę Bergmanów i Fellinich.

Wtedy też poznałem jego „laskę”. Jak duża cześć ówczesnych studentów uczelni technicznych miała kompleks staczania się w kulturalny niebyt. Dlatego z taką zachłannością oddawała się kontemplacji trudnego kina i literatury. Raz nawet wyciągnęła mnie na straszliwie długi spektakl Lupy. Szybko ją polubiłem. Choć oddawała się snobistycznemu hobby nie było w niej nawet śladu intelektualnego zadęcia, na które cierpią absolwenci studiów humanistycznych. Jak zresztą nie polubić kogoś, z kim przez pół godziny można rozmawiać o smaku zupy pomidorowej?

Nie dziwiłem się, że się w niej zakochał bez pamięci.

Potem nasze kontakty rozluźniły się. Kiedy natknąłem się na niego w meksykańskiej restauracji nie widzieliśmy się od jakichś 10 albo nawet 12 lat.

Przywitałem się z nim tak, jakbym go pożegnał wczoraj wieczorem i od razu bezceremonialnie usiadłem naprzeciw. Nie okazał zdziwienia.

– Co u Kaśki? – zapytałem

Wtedy spojrział na mnie wzrokiem, któremu nie potrafię przypisać żadnego przymiotnika. Mimo jego „nieokreśloności” poczułem się głupio.

– Dzisiaj jest kolejna rocznica – powiedział. – Kiedy ją widziałem po raz ostatni.

– Sorry – bąknąłem.

– Tam – pokazał palcem gdzieś za szybę. – Siedziałem tu, a ona stanęła na rogu i machała mi ręką na pożegnanie... Potem ją jeszcze raz widziałem, może nawet kilka razy, ale taką chcę ją pamiętać...

– Szkoda, byliście fajną parą – rzuciłem.

Znów na mnie spojrzął tak, że poczułem się nieswojo.

– Było, minęło – powiedział.

– A tak poza tym co słyszeć? – rzuciłem, próbując wyciszyć niezbyt pozytywne emocje.

Wzruszył ramionami.

– Żona zdrowa, dzieci zdrowe – powiedział. – W pracy po staremu.

– To klawo – uśmiechnąłem się i zerknąłem na stojącą przed nim szklanke. – Co pijesz?

– Tecquile – powiedział. – Ale odradzam, jest wyjątkowo podła.

– Pewnie, że podła, bo żłopiesz ją bez limonki i soli – powiedziałem.

– Taka jest lepsza do zalewania robaka – wyjaśnił.

– Piję ją, bo już sprawdziłem, że nie mam po niej kaca. Jutro muszę być na chodzie...

Zamówiłem piwo i tacos.

– Czy wiesz, że wszystko już mieliśmy zaplanowane – powiedział niespodziewanie. – Nawet wybrała sobie suknię ślubną i zarezerwowaliśmy lokal na wesele...

Kawałek naleśnika jakoś nie chciał mi przejść przez gardło. Poczułem, że znów zbaczamy na niezbyt przyjemne tematy. W końcu przełknąłem.

– Ty tak co rok? – zapytałem.

– Od kilku lat – wypił parę łyków ze szklanki. – Ale za każdym razem jest coraz gorzej. Pamiętasz „Przypadkową dziewczynę” z Gwyneth Paltrow? Coś się wydarza i zmienia się twoje życie. A ja coraz bardziej żałuję, że nie załapałem się na to alternatywne.

– Zaczynasz mieć kryzys wieku średniego – uśmiechnąłem się.

– Jeśli tak, to u mnie zaczął się wyjątkowo wcześniej – westchnął. – Zaraz po studiach... Pojechaliśmy do moich rodziców...

– Zaczyna brzmieć groźnie... – rzuciłem grzebiąc widelcem w tacos.

– Moja matka i Kaśka bardzo się lubiły – wyjaśnił. – Nic nie wskazywało na katastrofę. Było tak miło i słodko, że aż mdło. Pogaduszki w ogrodzie, obiad... Zło zaczęło się po obiedzie. Kaśka, jak przystało na dobrą przyszłą synową zabrała się do mycia naczyń. Nagle ni z tego ni z owego wyszła z kuchni, bez słowa zabrała swoje rzeczy i znikła. Nie wiedziałem kiedy. Nie wiedziałem dlaczego.

– To dowód na to, że teściowa przede wszystkim powinna kupić sobie zmywarkę – wypite piwo już zaczęło mieć wpływ na moje poczucie humoru.

Zamyślił się.

– Żebyś wiedział – stwierdził po chwili. – Kiedy ochłonąłem, kiedy dotarło do mnie, że nie odbierze telefonu ode mnie... Jej koleżanka powiedziała mi, że wyjechała za granicę. Wtedy zacząłem sobie wszystko układać. Jak puzzle. Drobiazgowo odtwarzałem każdą sekundę. Zachodziłem w głowę, czy może coś chlapnęli moi starzy. Ale przecież cały czas miałem ich pod kontrolą.

– Ich nie można mieć pod kontrolą – pokiwałem głową. – Są jak tykające bomby z uszkodzonym zapalnikiem...

– Pewnego dnia wpadł mi w ręce talerz – powiedział. – Taki zwykły porcelanowy talerz bez większych ozdób. Mieliliśmy kilka takich. Za żadne skarby nie chciały się rozbić i odkąd pamiętam zawsze z nich korzystaliśmy...

– Nie mów, że talerz mógł ci zniszczyć życie – wydałem wargi w powątpiewaniu.

Spojrzał na mnie jak na kogoś, kto bardzo mało wie o życiu.

– Talerz rzeczywiście nie może wiele, chyba że dostaniesz nim w głowę albo... – zwiesił głos. – Albo na spodzie ma namalowanego pieprzonego hakenkrojca.

– Co? – niewiele brakło, a udławiłbym się piwem.

– Co, co? – zapytał.

– No... – bąknąłem. – Obżeraliście się z hitlerowskich talerzy. Czy to... nie powinno dziwić?

– Nie – wzruszył ramionami. – Nasz dom był w czasie wojny jednym z większych i wygodniejszych w okolicy. Jak na nasze miasteczko, to była willa. Dlatego wprowadzili się tam essemani. Moja rodzina mieszkała w jednym pokoiku, a oni w pozostałych. I razem z nimi pojawiły się te cholerne talerze. Potem wyjechali, zabrali całą naszą zastawę stołową, ręcznie malowaną porcelanę, a zostawili masowy wyrób przemysłu ceramicznego III Rzeszy.

– Nie przekonałeś mnie do tych talerzy – pokręciłem głową. – To, jakby to powiedzieć, wydaje się niesmaczne...

– To tylko przedmiot – trochę się zdenerwował. – Przecież po wojnie nic nie można było kupić, a trzeba

było z czegoś jeść. A potem już przyzwyczajenie... Siła inercji... Już tego nie widzieliśmy...

– Może masz rację – próbowałem go zrozumieć. – Fakt, to tylko przedmiot. Kaśka chyba była trochę przewrażliwiona...

Zamówił mi piwo, a sobie kolejną tequile. I wpatrując się w nią milczał długą chwilę.

– Nie była przewrażliwiona – stwierdził nagle. – To ja byłem głupi.

– W zasadzie... – próbowałem wymyślić coś mądrego. – To zbyt skomplikowana historia jak dla mnie.

– Ona jest bardzo prosta, jeśli zna się jej drugie dno – westchnął. – Kaśka nie była zwykłą dziewczyną...

– Brzmi intrygująco – mruknąłem.

– Przez te pięć lat, kiedy byliśmy razem powoli poznałem jej sekrety – powiedział. – Nie wszystko do mnie docierało. Nie od razu. Poukładałem to sobie, jak już jej nie było. Wcześniej nie było to dla mnie istotne, bo liczyła się tylko ona. Resztę puszczałem mimo uszu. Nie zwracałem uwagi, kiedy mówiła, że większość jej rodziny zginęła w czasie wojny w obozach koncentracyjnych, nie zajarzyłem, kiedy wyciągała mnie na warsztaty tańca żydowskiego. To znaczy czegoś się tam domyślałem, ale jakie to miało znaczenie?

– Jak widać miało – kiwnąłem głową.

– Do tej pory nie daje mi spokoju, co ona sobie o mnie, o mojej rodzinie pomyślała, kiedy to zobaczyła... – wyznał.

– Wierz mi, lepiej nie wiedzieć – chciałem go pocieszyć. Spojrzał mi w oczy.

– Z drugiej strony myślę, że może stało się lepiej, że to tylko był talerz – zamyślił się.

– A było coś jeszcze? – zaciekawilem się.

– Był album rodzinny – skrzywił się. – Mówilem ci, że mieszkali u nas essemani... Był tam taki przystojny porucznik, który zostawił w domu żonę i małe dziecko. Moja matka miała wtedy dwa latka i była strasznie podobna do jego córeczki. Lubił ją brać na kolana i takie zdjęcie zostawił nawet na pamiątkę...

– Nie widziała tego zdjęcia? – zapytałem.

– Na szczęście nie – uśmiechnął się smutno. – To mogłoby być dla niej niezapomniane przeżycie...

– Byłoby – przytaknąłem.

Siedzieliśmy przez długą chwilę w milczeniu, wlewając w siebie alkohol.

– Wiesz... – powiedział. – Od tamtego czasu mam bardziej mistyczne podejście do świata.

– To ciekawe – spojrzałem na niego.

– Zacząłem wierzyć, że on..., że ten esseman zabrał nam dusze – stwierdził.

– Przesadzasz – rzuciłem niemal automatycznie, jednak coś kazało mi się przyjrzeć mu uważniej, jakbym mógł w ten sposób zauważyć, czy rzeczywiście nie ma duszy. Chyba wyczuł mój niepokój.

– Nie bój się, jestem całkowicie normalny – westchnął.

– Co najwyżej przez pół życia miałem stępioną wrażliwość. A zresztą moja matka też uważała, że zwariowałem, kiedy potłukłem jej te talerze. Może coś w tym jest.

Pokiwałem głową w zrozumieniu. W końcu nikt z nas nie jest do końca normalny. Przynajmniej nie dla każdego.

Rozstaliśmy się dwie kolejki później.

Bożydar Grzebyk

A komu czasem nie odbija?

Zwolnienie z pracy każdemu może się zdarzyć, zdarzyło się również Jurkowi, filarowi firmy produkującej dewocjonia. Życie jednak nie znosi próżni. Nasz bohater przypadkowo wygłasza mowę pogrzebową i zostaje zatrudniony w firmie zajmującej się pochówkami jako mówca. Jest jednak niedostosowany społecznie i popada w konflikt z kolegami z pracy, policja bierze go za seryjnego mordercę zwanego „Maniusiem Brzytewką” i jeszcze się nieszczęśliwie zakochuje w cudzej żonie, która ma zamiar wyjechać na stałe na Wyspy Kanaryjskie. W sumie, jedna wielka tragedia z wieloznacznym męceniem kota w tle. Do tego dialogi bez wątpienia pretendujące do miana kultowych i postaci, w których można się od razu zakochać, jak pan Miecio – przedsiębiorca pogrzebowy z doktoratem z filozofii, fałszywy rabin Lejczower czy przestępcy-gawędziarze: Bibuła i Graf.



Najśmieszniejsza książka o utracie pracy, męczeniu kota i seryjnym mordecy.

Bożydar Grzebyk

Astrolog

Jeśli myślisz, że astrologią zajmują się tylko starsi panowie i panie, którzy mają skłonność do dziwnego ubierania się i mówienia od rzeczy, to nic nie wiesz o astrologii. Jeśli dajesz komuś swoją datę urodzenia, nie zdziw się, kiedy twoje najskrytsze sekrety ujrzą światło dzienne i nagle dowiesz się, że są ludzie, którzy wiedzą o twoim kryzysie w małżeństwie, gorszym okresie w pracy i finansach, czy nie ujawnianych nikomu preferencjach seksualnych. Kto wie, może nawet będą znać datę śmierci twoich bliskich...

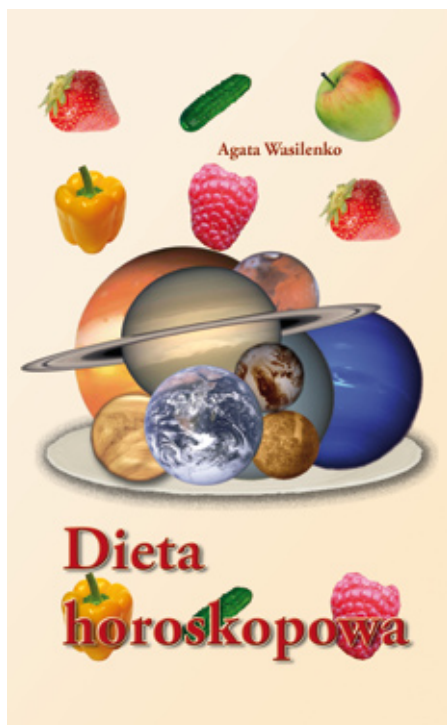
Astrolog to powieść sensacyjna, w której można znaleźć wiele ciekawostek na temat przewidywania pewnych wydarzeń na podstawie horoskopów i o tym jak dzięki astrologii można precyzyjniej oceniać ludzi.



Agata Wasilenko

Dieta horoskopowa

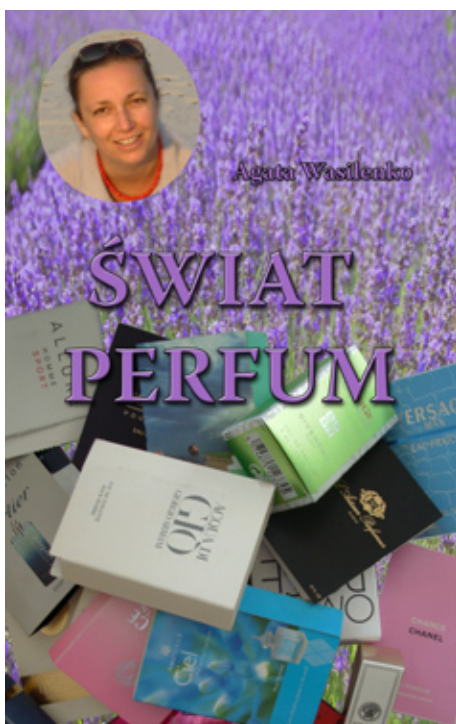
...nie ma czegoś takiego, jak uniwersalna dieta odchudzająca, która każdemu pomoże. Wiem coś o tym, bo wiele z nich wypróbowałam na sobie. Każdy do zrzucania nadmiaru kilogramów potrzebuje czegoś innego – innej motywacji, innego jadłospisu, innej aktywności ruchowej i wreszcie odpowiedniego towarzystwa.



Agata Wasilenko

Świat perfum

Poradnik dla początkujących miłośników perfum. Pozycja, którą można zaliczyć do klasyki gatunku. Wydanie e-book zmienione i uzupełnione.
Pierwsze wydanie - Świat Książki.



Agata Wasilenko

Tajemnice pachnidła

Książka zainspirowana słynną powieścią *Pachnidło* Patricka Süskinda i filmem zrealizowanym na jej podstawie. Autorka analizuje proces tworzenia zapachów przez Grenouille'a, objaśnia sekrety języka perfum i opisuje słynne pachnidła. Z książki można się dowiedzieć, jaki jest związek pomiędzy źle dobranymi perfumami a mobbingiem i dlaczego zapach domowego ciasta jest skuteczniejszym afrodyzjakiem od woni piżma.



Agata Wasilenko

Leksykon perfum

Pierwsze wydanie leksykonu miało miejsce w roku 1999. Nakład błyskawicznie zniknął z półek. Wydanie ebook uaktualnione i uzupełnione, również o ilustracje.

dla dzieci

Anna Gras

Misiek i fałszerze czekolady

Misiek uwielbiał jeść, delektować się nowymi smakami. Marzył nawet o tym, żeby zostać słynnym kucharzem lub cukiernikiem. Zamiast ćwiczyć mięśnie, co zwykle chętnie robią jedenastoletni chłopcy, wołał eksperymenty w kuchni. Bardzo to irytowało nauczyciela wuefu pana Bronka, z którym był w ciągłym konflikcie.

Pewnego dnia Misiek został reprezentantem szkoły w turnieju międzyszkolnym. Wziął udział w konkursie rozpoznawania potraw. Przegrał, gdyż podsunęto mu sfalszowaną czekoladę. Kiedy zaprotestował, zyskał opinię osoby, która nie umie przegrywać z honorem. To bardzo podrażniło jego ambicję. Postanowił wykryć jak to się stało, że na turniej trafiła podrabiana czekolada. Przeprowadził śledztwo, w którym pomagała mu koleżanka z klasy Elwira. Nim jednak odszukał fałszerzy czekolady musiał rozprawić się ze swoimi prześladowcami – szóstoklasistami Biedronką i Kielczykiem. W końcu trafił do siedziby przestępców, gdzie, jak to zwykle w takich książkach bywa, został uwięziony, a potem uratowany. Stał się bohaterem, a jego sława wykroczyła daleko poza mury szkoły...



Anna Gras

Misiek i świąteczne obżarstwo

Kolejna opowieść o Mišku, małym smakoszu, którego czytelnicy mogli poznać dzięki książce „Misiek i fałszerze czekolady”. Przed chłopcem znów staje trudne zadanie – musi przetrwać rodzinne święta spędzane w domu wujka. Toczy pojedynki słowne z babcią i wujkiem, zaprzyjaźnia się ze złośliwym kotem, kontestującym kuzynem i małą kuzynką o dziwnym poczuciu humoru. Bierze udział w przygotowywaniu kolacji wigilijnej, którą ciotka twórczo wzbogaca o potrawy poznane w czasie urlopu w tropikach.

Kiedy dzieci zostają posądzone o zjedanie słodyczy z choinki rozpoczyna śledztwo, które kończy się sukcesem i... awanturą w wyniku której Misiek ucieka z domu, dzięki czemu ma okazję poznać magię świąt u sąsiadów.



Anna Gras

Filip Engel i błękitny smok

Kiedy Filip przeprowadza się na nowe osiedle, nic nie dzieje się tak, jakby chciał.

Najlepsza przyjaciółka nie ma dla niego czasu, gdyż ucześnie na dodatkowe zajęcia z języków obcych i dobrych manier, koledzy z szeregowców zadzierają nosa, a babcia jest coraz bardziej złośliwa.

Do bloku wprowadza się malarz - właściciel obrazu przedstawiającego błękitnego smoka. Chłopiec okrywa, że istnieje tajemnicza wyspa, gdzie żyją samotne smoki, bierze udział w niezwykłym wyścigu, stawia czoło strasz-nemu smokozbójcy i odważnie rzuca wyzwanie czerw-nemu smokowi.

Opowieść o tym, co czai się w naszym wnętrzu. Można się z niej dowiedzieć, jak odróżnić dobrego smoka od złego. Dla wszystkich, którzy mają magiczną wyobraźnię.

Powieść nominowana do nagrody IBBY 2010



wkrótce w sprzedaży

Anna Gras

Misiek i perfumowana Kielbassa

Kolejna część przygód Miśka. Tym razem chłopiec odkrywa nie tylko nowe smaki, lecz także niezwykle pociągające zapachy. Dla młodych ludzi i ich rodziców.

Anna Gras

Filip Engel i smok taty

Druga część przygód Filipa Engela, który próbuje odkryć dlaczego jego tato stracił swojego smoka. Dla młodych ludzi i ich rodziców.

Anna Gras

Pan Słów

Wyrafinowana baśń - erudycyjna zabawa literacka, w której bohater toczy swoją prywatną wojnę ze śmiercią.

Anna Gras

Urzekający zapach konwalii

Anna Gras dla dorosłych - odpowiednik filmowej komedii romantycznej z doskonale zarysowanymi postaciami bohaterów, którzy mają problem z wyrażeniem swoich uczuć.

Bożydar Grzebyk

A komu czasem nie odbija? 2

Kolejny tom przygód Jurka, który nie może znaleźć sobie miejsca w życiu. Zaczyna się dobrze - znajduje pracę w dużej firmie i jest fajnie, dopóki demoniczna szefowa nie zaczyna go posądzać o rozsiewanie plotek na jej temat i ktoś zaczyna mordować pracowników firmy.

Jurek znów znajduje się w kręgu podejrzeń komisarza Wierciocha. Doskonale zarysowane postacie, mnóstwo czarnego humoru. Książka równie kultowa jak część pierwsza.

Bożydar Grzebyk

Kłamca

Kolejna po Astrologu powieść sensacyjna Bożydara Grzebyka. Główny bohater, były ekspert zajmujący się komunikacją werbalną, zostaje po latach wezwany do dokonania zemsty, do czego się kiedyś zobowiązał. Aby jej dokonać musi posługiwać się kłamstwem. Okazuje się, że nawet dla niego, osoby, która doskonale zna mechanizmy rządzące wiarygonością wypowiedzi, nie jest to proste, kiedy przeciwnikiem jest osoba równie biegle posługująca się nieprawdą.

Z tej książki można się dowiedzieć jak kłamać, żeby nam wierzono.